

Szpulka w palcach

Gdyby nie uroda pieśni - tej wstrząsającej opowieści o desperackiej podróży za chlebem do Ameryki, bez budzika widz by nie przetrzymał na jawie. Śpiew jako budzik? Owszem. Przy czym nie w tym problem, że w spektaklu „Siostry Parry” wszystko, co nie jest muzyką, jest śmiertelną nudą. Problem w tym, że wszystko, co nie jest muzyką, jest nieludzko, niczym pączki od Bliklego, lukrowaną dobroduszością tzw. ogólnego przesłania, które nam z Wiednia przesyła autorka Michaela Ronzoni. Gdyby więc nie Marta Bizoń i Katarzyna Zielińska, które 17 żydowskich songów śpiewają pięknie, a momentami nawet wzruszająco, głębinną istotę „Sióstr Parry” można by ująć za pomocą starego dowcipu, który niniejszym - mając na uwadze fakt, że dzieło trwa bite dwie i pół godziny - podaję w skrócie wręcz niedopuszczalnym.

Otóż, za siedmioma morzami, siedmioma górami i siedmioma rzekami, za siedmioma miastami, wioskami i przysiółkami, za siedmioma autostradami, siedmioma drogami lokalnymi oraz siedmioma ścieżynami, wreszcie za siedmioma dyrektorami Fedorowiczami, siedmioma reżyserami Szalszami i siedmioma scenografkami Krywszami, na Scenie Pod Ratuszem stoi smętna Baba-Jaga i powiada: do diabła ciężkiego, czemu ja tak daleko mieszkam? Po czym dalej stoi, jak stała, bądź tam i sam snuje się, jak się snuła.

Rzecz jasna, Krystyna Podleska nie gra Baby-Jagi, gra starą Żydówkę po dużych przejściach, która, by tak rzec, w cieniu Statuy Wolności snuje sobie i nam dobrodusznie pouczającą, retrospektywną opowieść o sobie samej w młodości, ściślej - o plusach i minusach porzucenia stron rodzinnych na zawsze. Jest blada, siwa i wciąż patrzy wstrząsająco w siną dal swej przeszłości. Z tą swoją wierną niczym pies walizeczką jest istnym wcieleniem Żydówki - wiecznej tułaczki. Wygląda wzruszająco powłóczyście, całkiem tak jakby właśnie, proszę ja was, wyszła z oceanu życia na brzeg śmierci nieuchronnej... Przepraszam, muszę przerwać, muszę lzy opanować...

Już. Otóż, krótko kreację tę ujmując, Podleska gra kobietę do szpiku kości przemoczoną deszczem życiowego doświadczenia. I z wysokości tak solidnie umocowanej refleksji opowiada o swojej z siostrą młodzieńczej wyprawie za chlebem do Ameryki. Tutaj, jak wiadomo, mało przytulnie jest. Amerykański dziki kapitalizm dziki jest i zły oraz ma bardzo ostre kły bezdusznego wyzysku. Najgorsze, najboleśniejsze, najokrutniejsze jest jednak to, że dzik ów ma w pogardzie wszelką tradycję. Tak jest, dobrze kombinujecie - oto staje przed nami tragedia, oto w śmiertelne zwanie wchodzi wrogowie odwieczni, oto w nastoletnich duszyczkach żydowskich siostrzyczek rozegra się bój pomiędzy chęcią

zasymilowania się z nowym światem a chęcią dotrzymania wierności tradycjom taty i mamy, którzy zostali za wielką wodą. Bój będzie krwawy, a jak się skończy - tego nie muszę mówić, bo każde dziecko zna finał. Bój mianowicie kończy się remisem. Remisem gorzkim, rzecz jasna. Jedna siostrzyczka (Zielińska) asymiluje się i, tak jak marzyła, zostaje wielką amerykańską piosenkarką żydowskiego pochodzenia. Druga zaś, czyli, że tak powiem, młoda Podleska (Bizoń), wręcz przeciwnie - wybiera los nieprzejednanej patronki tradycji. A jako że w rodzinie niezgoda nie uchodzi, siostrzyczki - zostając przy swych wyborach - jednak padają sobie w ramiona. Kurtyna więc może opaść spokojnie. Jesteśmy już nauczeni.

No właśnie - jesteśmy nauczeni. Właśnie w tym tkwi nieznośna dobroduszość Ronzoni - w pedagogicznym, a nawet kazania godnym, tonie narracji. Jest w przedstawieniu scena, kiedy Bizoń bawi się szpulką po niciach. Szpulka jest piękna, drewniana, solidna, nie ma już takich szpilek. W palcach Bizoń wiruje przedmiot bardzo biedny, całkiem nie z tego świata. Niestety, trwa to parę sekund za ledwie. I tylko tyle prawdy jest u Ronzoni - parę sekund. Bo Ronzoni nie jest po stronie szpulki. Nie jest po stronie realności - jest po stronie napuszonej przypowieści. Nie jest po stronie smaków życia - jest po stronie papierowych tez. Słowem, nie jest po stronie teatru - jest po stronie kompletnej pustej lekcji pod tytułem: jak dziś prawidłowo wspominać mamy. Inaczej mówiąc, sztuka Ronzoni to siódma woda po kisielu wszystkich tych niezliczonych, nostalgicznych nudziarstw wspominkowych, snutych na okoliczność starych, żydowskich miasteczek europejskich, których wprawdzie już nie ma, ale gdy były, to jakże czcigodnie i, ach, jakże ściśle wedle słusznych praw boskich się tam żyło. Amen.

Święta prawda, tak było. Tylko że - co z tego? O wszelkich prawdach, zwłaszcza świętych, trzeba umieć opowiedzieć, a umieć opowiadać to do prawd świętych umieć dojść - idąc przez przedmioty. Szpulka, pusta, biedna szpulka w palcach, jest wszystkim, co jest. Szpulka to o niebo więcej niż Jahwe i Mesjasz razem wzięci, tak w tamtym, minionym czasie, jak i dziś, w teatrze. To o niebo więcej, gdyż szpulki możesz dotknąć, całkiem tak jak 17 songów dotyka ciebie, ściskając ci gardło i na moment wdeptując w ziemię lukrowaną dobroduszość reszty.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Ludowy. Scena Pod Ratuszem. Michaela Ronzoni „Siostry Parry”. Reżyseria Piotr Szalsza. Choreografia Jacek Tomasik. Scenografia Elżbieta Krywsza. Muzyka: tradycyjne pieśni żydowskie oraz z repertuaru „The Barry Sisters”.